№ 36.

Warszawa dnia 28 Sierpnia / 9 Września 1865 r.



TYGODNIK MÓD i NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* złp. 10, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* złp. 25, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

LUDGARDA.

OBRAZEK

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(*Dokończenie*).

IV.

Leon się skłonił — a wyraz szczęśliwości wewnętrznéj mignął mu w oku.

— Niepodobna, bym sobie tak wielkiéj przyjemności odmówił... Tylko, że Karol....

— Domyśli się, żeś gdzie w sąsiedztwo zabłądził.

Okrążyli staw — przebyli mostek — zmierzali ku bramie dziedzińca — a Leon ani wiedział co mówić, tak mu *jakoś głupio* było w umyśle.

Zastali damy w salonie, przy robótkach i książkach. Cecylija właśnie jakiś ustęp głośno czytać przestała.

Tymczasem pan Leon podniósł się na duchu, — i od razu ożywiona zawiązała się rozmowa.

Dzień upłynął — a Leon ani wiedział, jak? — To miał odjechać po objedzie zaraz — i pozostał się. To znowu pod wieczór się wybierał — i został na herbatę, łając siebie w duszy, że bez wszelkiego postępuje taktu — że to jest czyste parafiańszczyzna!—Wreszcie późno już było, gdy do Nadolna powrócił.

Pan Karol chodził po dziedzińcu.

— Przecież wracasz, Leonie! — zawołał ujrzawszy go — a jam z obawy o ciebie już o mało spazmów nie dostał.

— Wybacz! Jeździłem tam i sam.... i wreszcie zaniósł mnie twój *Jacek* do Krzewin, ani wiem jak?

Karol się uśmiechnął.

— Spotkał mnie pan Domirski i zaprosił do siebie.

— Szczęście dla mnie, że jeden z parobków widział, jak skręciłeś od brzeziny na lewo....

Leon pokraśniał, jak burak.

— Inaczéj, byłbym naprawdę podejrzewał, że wyćwiczony w różnych tam *hecach* zagranicznych, nad swojskim *Jackiem* zapanować nie umiałeś. Byłbym się lękał jakiego łamikarku... Już nawet wybierałem się na odszukanie ciebie, i ludzi chciałem rozesłać....

Leon się zaśmiał.

— Chwała Bogu, że tak się stało! Zabawiłeś się dobrze, a tutaj dziś szczególne były nudy dla ciebie. Wróciłeś zdrów, ale... czy *cały*? to i wątpi o tem kościół Boży!

— Jakto?

— Tak też sobie mówię.... Możeś co zgubił?

— Nic.

— No... to i wyjawi się później.

— Cóż panie porabiają w Krzewinach?

— Zdrowe.

— Jakże tam *miss*?

— Brązowa zawsze.

— A śliczna panna Cecylija? grała, śpiewała...?

— Śpiewała.

— I gawędka była przyjemna?

— To wykształcona jest panna.

— Wiem o tem. I z *miss* bardzo zajmującą jest rozmowa!..... Ale, to już blizko dwunasta.... Dobra noc, mój ty kochany, błędny rycerzu!

— Dobra noc, Karolu! A wybacz mi, drogi!

— Oh! Oh! Gniady *Jacek* jest zawsze na rozkazy twoje, a nawet i czasem rozrządzaj moim.... gdy nie będę miał cóś ważniejszego a pilnego na głowie. Życzę ci snów różanych, złocistych, niebiańskich, świetlanych!

— Dobra noc.

V.

W dniu ś. Franciszka, gdy pan Karol z Leonem na dziedziniec do Krzewin wjeżdżali, ujrzeli pod lipami, grono poważnych panów — pomiędzy temi gospodarza, pułkownika Staniewskiego i pana Ignacego Sulistowskiego.

Wyskoczyli z powozu i pospieszyli złożyć zacnemu solenizantowi, cześć swoją i życzenia.

Pułkownik ze szczerym wyrazem uścisnął Leona, dodając:

— A to niespodzianka dla mnie, że ciebie tu widzę, panie Leonie! Ucieszy się także Kamilka — i mignął jakiś niby żartu odcień w dobrodusznym uśmiechu sędziwego męża.

— Więc i panią Kamillę powitam! — zawołał Leon i pokraśniał, a na jego licu przemknął to niby wyraz lekkiéj ironii, to jakby zaledwie dostrzeżony cień gniewu.

— Panie są w salonie i młodzież z niemi — wyrzekł gospodarz, i przybyli podążyli do dworu.—

Na samym wstępie na pokoju powitała ich pani Kamilla, czyniąca dzisiaj honory gospodyni, uśmiechnięta, milutka, lubo że i ona jakoś niby trochę zakłopatana, Leonowi rękę podała, — który nagle poważny przybrał wyraz. Obok niéj *adjutantowała* Angielka, zawsze brązowa, lecz dzisiaj w ciężkich jedwabiach.

Leon powiódł wzrokiem i ukłonem do koła — gdy w tem wysunęło się wdzięczne widzenie, w białym muszlinie, z wieńcem astrów w płowych włosach — niby złocistym przypruszonych pudrem. Wymysł wszelako na kieszeń elegantek, pudrów złotych, srebrnych i brylantowych i t. d., wówczas jeszcze nie istniał, bo przypominamy, że to się działo w r. 1859.

Powabne zjawienie z uśmiechem powitalnym wyciągnęło rączkę.... do pana Karola Birowicza a potem i do niego.... i gdy dwóch dotknął się paluszków w bielutkiéj rękawiczce, przeminął gniew wszelki, i wszelka w nastroju jego powaga. Uśmiech ustek różanych udzielił mu się od razu — białe zęby błysnęły poza ciemnym wąsikiem panicza.

Panna cofnęła się znowu do grona panien. Karol już był przy bogdance swojéj—a pani Kamilla, przedstawiła kuzynka obecnym.

Po chwili więcéj osób przybyło — i gwar wesoły się rozległ.

— Kuzynku, chodź za mną do drugiego pokoju — poszepnęła Leonowi pani Kamilla, i wyszła.

Leon oczewiście pospieszył za nią.

— Siadaj! — wymówiła.

I zajęli miejsca w zacisznym kąciku, na nizkiéj kanapce.

— Czy nie gniewasz się na mnie? — zapytała przełamując lody od razu, zajrzała mu w oczy z tak przyjaznym uśmiechem, z tak poczciwym wyrazem, i uścisnęła rękę jego w dłoniach obiedwóch!

Leon zapłonął niby gniewnie trochę.

— Powinienem się gniewać za te *mistyfikacje*.... poszepnął cóś tam ciszéj, lecz można tylko było wyraz *embêté* dosłyszeć. Znać nie chciał wyrzec: *ogłupiony* — spuścił oczy, przybrał wyraz powagi, lecz wąsik jakoś powstrzymanym zadrgnął uśmiechem.

— Leonie! nie możesz się gniewać! Spojrzyj na mnie i uśmiechniéj się! — prosiła kuzynka. Chodziło mi o dochód na szpital, na cel dobroczynny!.. a zarazem i o uleczenie ciebie z téj nieznośnéj, fatalnéj, niemądréj, zagranicznéj choroby.... A jeszcze — dodała figlarnie — wszakżeż... czego pragnąłeś.... — urwała — być może.... — odchrząknęła — o, spojrzyj na mnie i uśmiechniéj się!

Pan Leon podniósł oczy — parsknął śmiechem — i pocałował ją w rękę.

— A więc zgoda?

— Zgoda niechaj będzie!

— Na zawsze, kuzynku, na zawsze! O, bo jesteś dobrym i nieoszacowanym, a wcale.... nie *blasé!* — zaśmiała się, a kuzynek znowu pocałował ją w rękę.

— Teraz zaś winnam ci wszystko wyjaśnić, by na nikogo zarzut nie padł niesłusznie....

— Zawsze z kapitanem będę miał do czynienia — i mrocząc się, pokręcił wąsa, bo rad był kuzynce napędzić obawy.

— Na miłosierdzie Boże!—zawołała pani Kamilla, splatając dłonie. Zaklinam cię na miłosierdzie Boże, do nikogo nie miéj żalu: jam tylko winna sama jedna!

— Jednakże... — i spuścił głowę.

— Leonku! — i ujęła rękę jego — Kuzynku drogi, kochany!... Zaklinam cię nie zarywaj z kapitanem!... Zaklinam cię... na to, co w téj chwili masz w myśli!

Leon uśmiechnął się niby.

— Przysięgam ci, że kapitan w niczem nie zawinił! Żem ja go do współudziału w téj całéj *komedji* zmusiła!.... Prosiłam, błagałam... i odmówić nie mógł. Przebacz!

— No, już dobrze, dobrze!

— Nie masz urazy do niego.

— Nie, nie, już nie!

— To więc zgoda i z nim! — i uścisnęła obiedwie ręce kuzynka.

— A teraz opowiadaj daléj.

— Pomysł téj całéj *mistyfikacji* w mojéj powstał głowie, lecz dopomagała mi Karolina i radą wspierała swoją. Cecylija uproszona, *ubłagana*, by na korzyść poświęciła się biednych kalek i chorych, podjęła się wskazanéj roli, i na dzień jeden ze swoją *miss* do Rusielska zjechała. Było nowych potrzeba przedstawień i próśb, bo biedne dziewczę straciło odwagę... i ujrzałeś ją w kniei, a potem w oknie. Ukryłam ją wraz z Angielką w moim pokoju, a wieczorem odjechały do Krzewin. W ogrodzie i na korytarzu widziałeś moją pannę służącą, w sukniach Cesi, będącą jéj wzrostu. Szelest sukni jedwabnéj pochodził z poza drzwi małych, zastawionych szafą, obok twojego łóżka, któreśmy otwierały z Karoliną i mantynami szeleściły do woli. Cecylija myślała, że ciebie może nie zobaczy nigdy, albo też jeżeli cię spotka kiedy, sprawa Rusielska w części zapomnianą będzie i nie poznasz jéj wcale, inaczéj nie byłaby odgrywała *Ludgardy*! To też, gdy jéj ciebie przedstawiono, o mało że biedna nie zemdlała. Znać ciebie tu licho przyniosło, i tak zaraz, kuzynku.... licho, jeżeli nie opatrzność! — dodała ciszéj.

Leon usta przygryzł i wąsa pokręcił.

— Anim wiedziała, że tutaj masz znajomego, przyjaciela!... Pana Domirskiego, jak ci wiadomo, w domu wtedy nie było—ciągnęła daléj Kamilla — o niczem nie wiedział i dotąd nie wie, bo i gniewałby się

pewnie... Wujaszkowi opowiedziałyśmy wszystko, ale dopiero w dniu ostatnim twojego pobytu w Rusielsku... trochę nam pogroził, trochę głową pokręcił, nie smakował w tej całej komedji, a potem, dla ostrzeżenia opowiedział wieczorem ów wypadek o dwóch starych wojskowych, umówiwszy się wprzódy ze mną.

— A historja Ludgardy?

— Całkiem zmyślona!

— I przez kogo?

— *Mea culpa!* uderzyła się w piersi Kamilla.

— I kto też jeszcze do tej całej *mistyfikacji* należał?

— Głównie Karolina, to jest po mnie zaraz. Żyłko Ignaś, pani Chrząstowiczowa, pani Marszewska, Miliszewski, panny....

— Więc niemal wszyscy! I nie mamże się gniewać?

— Och, nie! Nie, nie! — i ujęła rękę jego — raczéj mi podziękuj! — dodała z jakimś szczególnym wyrazem, a Leon rozśmiał się także *szczególnie jakoś.*

— A ów obraz Ludgardy? zapytał znowu.

— Jest po prostu portretem Cesi, zrobionym dla dziadka, przez dobrego portrecistę z Warszawy.

— Oj, oj! I panny służące i lokaje.... wszyscy mnie *mistyfikowali!*

— Wybacz! Daruj! Wiedzieli, że to jest żart, który szpitalowi korzyść ma przynieść. A, kuzynku, dowiodłeś, że tchórzem nie jesteś i goniłeś za duchem i nie ustraszyłeś się wcale!

— Zawsze to ośmiesza trochę.

— Uchowaj Boże! Wyszedłeś bohatyrsko z téj sprawy, chociaż nie zwycięzko.... a myślę, że i szczęśliwie — i uśmiechnęła się znacząco, spuszczając oczy.

Pan Leon odchrząknął.

— Teraz zaś, Leonku, proszę i zaklinam ciebie: nie ambarasuj mi Cesi! Biedne dziewczę zniepokojone, zmartwione nawet, wstydzi się.... twierdzi, że oczów ne ciebie podnieść nie śmie.

— Hm, hm! — Leon powiedział sobie w duszy i że *je* podniosła wszelako, że w nie zajrzał.... a zajrzał, że już wejrzenia tego i zapomnieć nie podała.

— Wyrzuca sobie... ze łzą w oku mówiła mi o tém.

— O, i powinna sobie wyrzucać!

— Biedne dziecko!.... Bądź względnym, kuzynku, grzecznym, *cacanym!* Proszę i zaklinam cię, byś biednéj Cesi ani wspomniał słówkiem jednem o Rusielsku i Ludgardzie.... zawstydziłbyś ją!... Proszę cię, Leonku!

— Za cóż mnie masz? Człowiek honoru, zna poszanowanie dla kobiet i *nigdy* nie ubliży żadnéj!

— Śliczny, mój Leonku! Chciałabym cię uścisnąć.

Leon podał jéj rękę.

— Już więc wszystko jest wyjaśnione i zagodzone.

— Wszystko!

— To i wracajmyż do towarzystwa.

Weszli do salonu, gdzie właśnie uproszona Cecylija *Kasiuleńkę* śpiewać zaczęła.

Leon usiadł na uboczu — wsparł dłonią czoło — i słuchał.

Gdy następnie o zmierzchu na dworze — a przy jasnem świetle w pokojach, rozpoczęły się tańce, boć to najzwyklejsza a najpożądańsza zabawa jest dla młodych, przy któréj i starsi zabawią się także, ochotą w około a wspomnieniem dawnem aż odmłodnieją niby — na dużéj sali pan Leon z panną Cecyliją mazura rozpoczął: on, który zwykle nie tańczył — tańczyć nie lubił — i z ironią o tańcu i tańczących mówił!

— Ignasiu, czy widzisz i uważasz? — poszepnęła Kamilla mężowi, uśmiechnięta wesoło, zasłaniając się wachlarzem.

— Widzę i uważam — odrzekł pan Ignacy, pokręcając wąsa.

— Leon dziś *blasé* nie jest bynajmniéj!

— Bo zapomniał o sobie, gdy mu *cóś* innego zajechało w głowę... a może i w serce.

— Tom ja zbudowała!

— Bo i czegóżby nie zbudowała kobieta, gdy zechce! — wyrzekł małżonek z dobroduszną ironią — gdy się uweźmie!

Pani Kamilla uderzyła go z lekka bukietem.

I miał słuszność pan Ingnacy, że Leon *zapomniał o sobie, bo mu cóś innego zajechało w głowę... a może i w serce:* jemu w téj chwili całe niebo w modrem oku Cesi jaśniało — a w sercu urocza, cudna zakwitła wiosna.

Po kontredansie usiadła Cecylija, tańcem znużona, przy marmurowym słupie, na którym umieszczono popiersie Ignacego Potockiego. Pan Leon wsparł się łokciem o słupek, i pochylony ku pannie jakąś nader zajmującą i ożywioną prowadził rozmowę. Zajmującą, bo uważano, że nie ustawała wcale; ożywioną bo śmieli się oboje wesoło.

Ktoś z boku byłby mógł dosłyszeć wyrazy: „*Kapitan... Ludgarda.... czarny kapelusik z białem piórem... szelest sukni jedwabnéj... długi korytarz...*“ — a pani Kamilla byłaby się domyśliła, że kuzynek jéj zaklęcia nie posłuchał... i prawił z Cesią o wszystkiem, cokolwiek zaszło w Rusielsku, Nie byłaby się tem jednakże zmartwiła — bo i jakież to musiało być dobre porozumienie, skoro ową mistyfikacją Rusielską z taką traktowali swobodą i wesołością.

W tydzień potem odebrała pani Karolina list następujący:

„Moja Karolko!

Nasze *mistyfikowanie* Leona powiodło się ponad wszelkie spodziewanie!... Mniejsza o to, że mi nadesłał owe 2,000 złp., jako słusznie przegrane, i z których ucieszyłyśmy się niemało i pośmiały nawet. Ale, ażeby nasza *duchomania* Rusielska taki obrót wzięła... o tem z nas wszystkich ani zaśniło się komu! I powtórzę tutaj z panią *de Sevigné* jak w owym sławnym liście do córki, gdy jéj donosiła o zaślubinach panny *de Montpensier* z *Lauzun*'em: Donoszę ci o rzeczy najciekawszéj, najpocieszniejszéj, najpożądańszéj, najszczęśliwszéj, nadspodziewanéj, *la plus triomphante!..* że nasz bohatyr, nasz młodzieniec *blasé*.... jest zakochany po uszy i po oświadczynach z Cesią!... Widzę oczyma duszy, jak klaśniesz w dłonie, a oczy Twoje radośnym błysną promieniem! — Zaintrygował i zaciekawił go duch *Ludgardy* — rozmarzyła go jéj piękność dziewicza.... w tem rozmarzeniu zobaczył Cesię — i stał się innym!.... Od razu, powtarzam; *od razu* zakochał się w pannie — umiał się podobać — ojciec i dziadek nic przeciwko temu nie mieli — a jam dolewała oliwy do tego ognia, jak się łatwo domyślisz.

Otóż i pożądane zakończenie romantycznéj powieści o ukazywaniu się ducha pięknéj, zamordowanéj *Ludgardy!*

Jestem wszelako pewna, że gdyby Leon był Cesię w zwyczajny, w powszedni zobaczył sposób, gdyby ją był spotkał w Rusielsku albo też u mnie, na prostéj zupełnie drodze, byłoby to widzenie przeminęło bez wrażenia: nie byłby się w niéj tych wdzięków dopatrzył, które go dziś czarują — i byłby pewnie *znudzonym* pozostał. *Mistyfikacja* Rusielska, a potem nagłe ujrzenie Cesi, dodały jéj onego uroku, który go z jego nieznośnéj *blazerji* uleczył. Potrzeba mu zawsze było *nadzwyczajności* jakiéjś. Wszakżeż Cesia nie ma tych warunków, o których tylokrotnie mówił: nie jest tak nieporównanie *piękną*, ani też *doskanale brzydką*, a jednakże zakochał się na umór. Odegrał swoją rolę i... *finita la comedia!*

Ale, z tem wszystkiem, Karolciu, wielką położyłyśmy zasługę, bo Leon stał się odtąd całkiem innym człowiekiem; teraz żyje dopiero, bo cel życia znalazł; pragnie uszczęśliwiać, bo sam poznał szczęście; chce pracować, bo pokochał — i ma dla kogo pracować!

Takiéj przemiany życzę z całéj duszy tym wszystkim, którzy podobnéj jak on, podlegają chorobie. *Amen!*

Twoja Kamilla.

Kronika zagraniczna.

Dotąd zajmowaliśmy się przeważnie poglądami na francuzkie i niemieckie piśmiennictwo; nie od rzeczy więc będzie obejrzeć się po niwie literatury angielskiéj, ile że szczęśliwa ku temu nadarza się sposobność. Wyszły bowiem na jaw ostatnie dwa tomy dzieł Szekspira, wytłomaczone na język francuzki przez Franciszka Wiktora Hugona (syna). Tak więc dzieło pomnikowe, któremu Franciszek Hugo kilka lat poświęcił, doprowadzonem zostało do końca. Dotąd z cudzoziemców Niemcy jedynie pochlubić się mogli posiadaniem wszystkich utworów Szekspira w wybornych tłomaczeniach i naród ten rzeczywiście ogromne położył zasługi nietylko około rozwoju dramatycznych idei szekspirowskich, lecz i około wyświecenia stanowiska Szekspira w dziejach sztuki dramatycznéj; i jak kiedyś Hendel, rodem i charakterem Niemiec, przeszedł na wyłączną własność narodu angielskiego, jak jego kompozycje acz niemieckie duchem i pieśnią, żyją dzisiaj w uściech i pamięci Anglików: tak Niemcy przyswoili sobie Szekspira, oni pierwsi wskazali drogę do jego geniuszu, oni pierwsi przez pracę i miłość zrozumieli i rozjaśnili jego ideje, oni go światu przekazali, i Niemcom jedynie należy się zasługa sumiennéj i krytycznéj oceny wszystkich dzieł poety angielskiego.

Późno trochę spostrzegła się Francja, że dług jéj w obec Szekspira jeszcze nie spłacony, że arena do odzwyczajenia się stoi otworem. Franciszek Hugo stanął pierwszy z młodzieńczą siłą, z zapasem szczeréj woli i żelaznéj pracy na czele młodych koryfeuszów, których celem jest nadać piśmiennictwu francuzkiemu kierunek bardziéj kosmopolityczny, szerszy i ogólniejszy, i przeciąć raz na zawsze żyłę téj ślepéj, bezwzględnéj dążności patrzenia się na wszystko przez szkło uprzedzenia, samolubstwa i samochwalstwa. Franciszek Hugo przełamał pierwsze lody, rozwinął sztandar postępu i pracy, i dał tem samem hasło do przestworniejszego patrzenia się na świat zasekwański. Dzięki usiłowaniom Franciszka Hugona, Francuzi będą mogli poznać dobrze Szekspira, a mając go w wybornem tłomaczeniu, poznają wszystkie jego utwory niezmienione, nieuszczuplone, poznają go w nieprzebranéj, niespożytéj różnorodności i całości wybornéj. Franciszek Hugo nie uląkł się ani na chwilę: rozkuł olbrzyma bez najmniejszego wahania się, i trafnie powiedziano, że tłomaczenie Hugona „jestto sam Szekspir bez kagańca.“

Sądzimy, że wzmianką nawet najobszerniejszą i często powtarzaną nikt się nie przesyci, skoro chodzi o bliższe zapoznanie się z mistrzem, którego dotąd żaden kommentarz, żadna krytyka nie wyczerpnęła, zawsze znajdzie się nowy przedmiot, nowe myśli, nowe źródła bijące zarówno dla serc młodzieńczych, jak dla dojrzałych myślicieli. Powabna to i ujmująca chwila, sięgać myślą w wieki i istotę tego geniuszu. Myśli te poświęcamy zresztą mistrzowi, jakiego może żadne wieki i narody nie wydadzą, a w którym zadziwiające bogactwo umysłu, zdatność wrodzona, talent rodzimy, wpływ i ogrom działalności nigdzie jeszcze tak wielkiemi nie były. Jakiemi były czasy Szekspira? Jak się rozwinął jego dramatyczny geniusz? Jakie jest poczucie piękna w Szekspirze? Wreszcie jaką wartość i donosłość ma Szekspir w tłomaczeniu francuzkiem Hugona? Na te wszystkie pytania odpowiemy w osobnych artykułach kroniki.

Rzadko zjawienie się olbrzymiego geniuszu odpowiada tak szczęśliwym warunkom bytu i umysłowego stanu narodu, jak w czasach Szekspira. Szekspirowi danem było żyć w epoce jedynéj narodu angielskiego, która nietylko w niczem nie była przeszkodą dla wielkiego poety, lecz pod względem miejscowych i narodowych okoliczności należy niezaprzeczenie do najświetniejszych chwil rozwoju i postępu oświaty. Wszystkie warunki, które potęgę czasu i geniuszu stanowią, znajdowały się przed Szekspirem i na okół niego, a rzecz to nader ważna, ile że geniusz bez takich danych czasu ani istnieć, ani wznieść się nie może: — najlepsze nawet ziarno potrzebuje koniecznie żyznéj gleby. Anglia za czasów Elżbiety była główną i prawie jedyną spadkobierczynią skarbów nagromadzonych przez wiek XV i XVI. Porównywając umysłowe bogactwo owych czasów z dzisiejszem, jakżeż zimnem pustkowiem wydać się musi umysłowa arena dziewiętnastego wieku. Dzisiaj wszystko rośnie, wybuja i szybko dojrzewa, nawet bez udziału wielkich ludzi, bez usilnéj pracy i zdolności; dzisiaj kilka miernych rąk i sił skuwa się w martwą machinę pracy i wykonywa dzieła, których byt i wartość nie przeżywa chwili urodzenia. Żyjemy w świecie rozsypanych jednostek, w epoce rozpierzchłych talentów, w czasach gdzie płody wyobraźni i dziennéj pracy odznaczają się zaledwie piętnem mierności: zużycie umysłowe, nienaturalność myśli, zysk chleba powszed-

niego i sławy kilkogodzinnéj, to są wahadła naszéj epoki, to owoc umysłowéj pracy kilku wieków! Jakżeż to inną jest postać czasów Szekspira. Ileż geniuszu i pracy olbrzymiéj potrzeba było naówczas, ażeby się wznieść na szczyt swéj epoki, zajaśnieć słońcem sławy i znakomitości, spocząć na wawrzynach po dniach ciężkiéj i mozolnéj pracy umysłowéj, lub zostać wreszcie uwieńczonym gałązką zasługi i sławy... Świat ówczesny nie znał tych maluczkich sztuczek i sposobów, przy pomocy których zdobywa się dzisiaj bez trudu wielkie znaczenie, liczne stronnictwa, koterje i sekty, idące z wiarą mahometanina za słowem swego małego proroka.

Tam wymagano innych zasług, innych wynalazków i odkryć; tam trzeba było walczyć z dziecinną niesfornością wieku i upartym przesądem ludu, trzeba było być i geniuszem i nauczycielem, i mistrzem i prawodawcą swéj nauki. Dość jest spojrzeć na nieprzenikłą pomrokę średniowiecznych czasów, jak rozbita pod wpływem kilku promieni piętnastego i szesnastego stulecia odsłania w jednéj chwili jasny i promienny widnokrąg, potężne jednostki, genjusze, typy i zwiastuny świeżéj idei i oświaty. Była to chwila w życiu ludów, gdzie niwa spółczesnéj uprawy odżyła w jednéj chwili: przerwany ruch ducha ludzkiego i historji uczepił się silnego ogniwa nowożytnych pojęć! Czasy przed i po-szekspirowskie— to wiek samych zdobyczy ducha i oświaty: Włochy odżyły światłem nauki starożytnéj; Niderlandy torują drogę humanizmowi i reformie szkólnéj; Niemcy wydają Lutra; odważni żeglarze genueńscy i portugalscy odkrywają drogę do Indji i nowéj części świata; Karol V i Filip II łączą ogniwem oświaty stary i nowy świat; Machiawelli stwarza zasady dziejów i polityki; Kopernik i Galileusz wnikają w tajemnicę systemu niebieskiego; Włochy wydzierają Grecji monopol sztuk pięknych; Palestryna stwarza nową muzykę, Ariost poezję; Polska wydaje Wojciecha z Brudzewa i Grzegorza z Sanoka — jednem słowem, promienie nowéj oświaty zawięzują Europę jakby węzłem magicznym w jedną rzeczpospolitę nauki i pracy. Nigdy sfera pojęć w rozleglejsze nie wstąpiła zakresy. Rozprzestrzeniono świat, przebudowano go na nowo. Prawdziwe, niekłamane zamiłowanie do sztuki łamie oręż wojenny; nauka uwolniona z pod tłoczącego jarzma ciemnoty średniowiecznéj wywraca wszystko, co było mierne i niedołężne.

W żadnéj epoce tylu mężów historycznych nie stanęło razem u steru świata: Leon X, Karol V, Franciszek I, Zygmunt stary, Henryk VIII, Andrzéj Doria, Soliman, Schah-Ismael, a po nich, Filip II, Wilhelm z Oranji, Zygmunt August, Elżbieta angielska.

Zjawiają się olbrzymie twory Kamoensów, Cerwantów, i w jednym prawie czasie wyświta plejada siedmiu największych mistrzów sztuki: Leonardo da Vinci, Michał Anioł, Rafael, Fra Bartholomeo, Corregio, Ticyan i Andrzéj del Sarto. Jakie to rysy, jakie znamiona tych olbrzymich postaci! Odsłaniając nieco głębiéj obraz, zobaczymy wprawdzie srogość wojen i niszczące zawichrzenia, wyuzdaną pychę i zbytki. Złoto staje się najwyższą potrzebą i koniecznością — alchemja szuka go w kamieniu filozoficznym, a oręż w Indjach. Przesąd miesza wyobrażenia religji, sprawiedliwości, pobożności. A jednak były to czasy najpomyślniejsze dla nauk i ludzkości, przedstawiające ciekawy obraz zbudzonéj powszechnie czynności umysłowéj, dzieła godne podziwienia, budujące przykłady pracy i nauki.

Takie to czasy przygotowały epokę wieku szesnastego — wieku Szekspira i najświetniejszéj epoki w Anglji. Ruch i skutki odrodzenia zogniskowały się naokół ówczesnéj monarchini angielskiéj Elżbiety; i kiedy we Włoszech, Niemczech, Francji i Polsce literatura z biegiem spraw państwa żadnego prawie nie miała związku, to w Anglji natomiast oświata z polityką, literatura ze zdobyczami wojennemi, szły nieprzerwanie ręka w rękę. Około Elżbiety żyli ludzie tacy jak filozof Bakon, poeta Spenzer i Sidney, wódz i mistrz nauki Raleigh, mąż stanu Burleigh, dziejopisarz Camden, żeglarze Howard i Drake, pomijając tyleż innych, niemniéj wielkich postaci. Wśród nich staje postać Szekspira — mistrza-olbrzyma. On dopiero rozniecił wśród nich ognisko wspólnéj działalności, on zapalił do współzawodnictwa, on dał podstawę ideom, uczuciom i prądom swego wieku. W chwili zjawienia się jego budzi się na dobre ruch i życie umysłowe. Ale bo życie ówczesne nie było tak mdłe i bezbarwne jak dzisiaj; świat się nie maskował: było tam życie prawdy i rzeczywistości. W czasach Szekspira istniała jeszcze przyroda z wszystkiemi wdziękami, z siłą trzeźwą, rzutką, niespożywającą się zbyt łatwo i prędko. I tu spoczywa źródło wielkości szekspirowskiéj. Szekspir nie szukał przedmiotu do poezji w zdruzgotanych i przebrzmiałych światach, nie psuł i nie naprawiał zasad religji, nie ubóstwiał obcych bogów sztuk i nauk. Szekspir ssał całą piersią soki ziemi rodzinnéj. Ztąd siła i moc, twórczość i niespożytość jego poezji. Najróżnorodniejsze natchnienia płyną zewsząd ku niemu, domagając się życia. Geniusz Szekspira stapia je wszystkie w potężne postacie. Głazy marmuru znalazły swego rzeźbiarza, rozrzucone myśli swego mistrza, jednem słowem na pozór nieład, brzemienne objawy kilku wiekowéj nauki i wiedzy znalazły słowo życia i światła. Szekspir przygarniał niezmordowanie myśli spółczesne, tajemnice średniowieczne, dzieje narodowe, fantastyczne legendy, greckie i łacińskie poemata, i z tego wszystkiego utworzył ów teatr czarowny, ożywiony tchnieniem geniuszu.

Szekspir wydobył wszystek szlachetny kruszec z kopalni swego wieku. Żył w czasach, kiedy narody umieją tworzyć z młodzieńczym zapałem a zarazem czuwać nad tem, żeby nie wyjść poza kres miary. Rzadko tak olbrzymi geniusz natrafia na stan podobnego ruchu w narodach: Homer, Dante i Szekspir — to jedyna w dziejach trójca, która żyła z wiekami, i wieki bez niéj istnieć nie mogły; to ludzie, którzy zagarnąwszy całą spuściznę przeszłości, spowinęli ideję przyszłości.

Tyle o czasach szekspirowskich. W następnéj kronice pomówimy o dramatycznym kierunku Szekspira.

August Jeske.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Kurs początkowy teoretyczno-praktyczny języka francuzkiego i t. d. przez Dr. Karola Wagnera część I (1864 r.) i część II (1865 r.).—Nowa metoda nauczenia się czytać, pisać i mówić językiem niemieckim w 6 miesiącach i t. d. tłomaczona z H. G. Ollendorfa wraz z Kluczem do tejże metody.

Wiadomo powszechnie, jak w dzisiejszym stanie społecznym ważną jest znajomość obcych języków, jak dla nas mianowicie francuzkiego i niemieckiego, a przynajmniéj jednego z nich; tymczasem z przykrością przyznać się nam wypada, iż nie mamy do nauczenia się tych języków dobrych książek. Ztąd trudności niemałe w prywatnéj osobliwie edukacji, bo nauczyciel, lub nauczycielka nie znajdując pod ręką dzieł ułatwiających systematyczną naukę, chwytać się muszą pierwszych lepszych w jakie księgarnie nasze są zaopatrzone. Jeszcze w mieście pół biedy, bo można uczynić pewien wybór, ale na wsi, każda guwernantka, każdy guwerner zwykle wypisuje sobie nie te książki które są najlepsze, ale z których się sami uczyli, lub które reklama dziennikarska za najlepsze ogłosiła.

Dotąd powszechnie do nauki języka francuzkiego używano grammatyki Noela i Chapsala, gramatyki bez wątpienia niezłéj, tylko nie dla Polaków. Dla tego uczeń lub uczennica recytowała wybornie prawidła np. tworzenie liczby mnogiéj, lub użycia trybu łączącego, a najokropniejsze w mowie i na piśmie popełniała błędy. I nie mogło być inaczéj, bo tu praktyka szła swoją drogą, a teorja swoją, i to jeszcze teorja nie mająca nic wspólnego z nauką ojczystego języka.

Na szczęście zjawia się tak zwana metoda Ahna, więc wszyscy się do niéj rzucają, czego dowodem rozliczne jéj tłomaczenia polskie i wieloliczne wydania. Zkądże taką wziętość pozyskała metoda Ahna? Oto, iż stopniowo zapoznawała uczącego się z wielką ilością wyrazów i wyrażeń, począwszy od najłatwiejszych. Owo umiejętne stopniowanie ułatwiało nadzwyczajnie naukę, tak iż uczeń w krótkim czasie znaczną ilością frazesów mógł się popisać, zawsze to jednak była nauka mechaniczna nie powiązana z sobą ogólnemi prawami językowemi. Brak reguł gramatycznych nie dozwalał uczniowi osiągnąć wszystkich korzyści, jakieby mógł otrzymać z wyuczonych frazesów. Dla tego też po przejściu dwóch części metody Ahna rzadko uczeń był w stanie tłomaczyć najłatwiejszą książkę francuzką, a co do gramatyki, téj wcale nie znał. Tę ostatnią wadę metody Ahna naiwnie głoszono jako jéj przymiot szczególniejszy.

Tymczasem doświadczenie i wyrozumowane zasady pedagogiczne nas przekonywają, że najlepszą zawsze będzie ta metoda, która ściśle łączy teorję z praktyką, to jest prawidła gramatyczne z odpowiedniemi im zasadami. Pamiętał o téj prawdzie p. Lessman wydając metodę Dr. Karola Wagnera, bo tu przed każdem zadaniem mamy wyłożone prawidło gramatyczne. Nadto w książce Wagnera miano wszędzie wzgląd na język polski, a postępując na wzór Ahna w stopniowem dodawaniu coraz nowych wyrazów i wyrażeń, załączono tak pożyteczne rekapitulacje, czyli powtórzenia kilku lekcji pewną całość stanowiących. Dotąd mamy dwie części metoty Wagnera, i to ograniczające się na pierwszych elementach języka, część etymologiczna jest tu tylko rozwinięta i to nie w zupełności, dla tego spodziewamy się, iż przez wzgląd na dobro ogólne p. Lessman na tych dwóch częściach nie poprzestanie, lecz postara się, abyśmy w podobny sposób opracowaną mieli składnię, ale zawsze ze zwrotem na ducha naszego języka. Wiemy, że autor niemałe będzie tu miał trudności, zwłaszcza gdy mu przyjdzie wykazać sposób łączenia zdań w okres, tak często odmienny w obydwóch językach ale za to tym większą położy zasługę nie tylko dla uczących się, ale i dla uczących, mianowicie też cudzoziemców, którzy pozbawieni dobrego przewodnika i długo i niedokładnie wykładać swój przedmiot są zmuszeni, a zawsze ze szkodą polskiego języka.

Metoda Ahna do niemieckiego języka nie jest tak jak do francuzkiego upowszechnioną, może właśnie dla tego, iż jéj niedostatki tym dotykalniejsze tu się stają. Zasłużony wydawnictwem wiele naukowych książek, wspomniany wyżéj księgarz Lessman, starał się uzupełnić metodę Ahna łącząc ją z gramatyką Bekera, a następnie przyswoił nam tak głośną w całéj Europie metotę Ollendorfa.

O téj ostatniéj chcemy parę słów powiedzieć.

Każda metoda na ogólnych prawach językowych oparta i sama w sobie pewną całość organiczną stanowiąca, ma to do siebie, iż chcąc z niéj rzeczywistą odnieść korzyść, należy sumiennie przejść całą, a nigdy nie przerzucać się lekkomyślnie z jednéj do drugiéj, bo ztąd rodzi się chaos, jakieś dziwne pomieszanie, skutkiem którego uczeń kilka lat nawet na nauce strawiwszy, w końcu się przekona, że coś i nic nie umie.

Metoda Ollendorfa w sposobie reklamy nam zapowiada, iż w sześciu miesiącach wyuczy swego ucznia czytać, pisać i mówić po niemiecku. Niech nam będzie wolno o tem wątpić; gdyby to osięgnęła i w 12 miesiącach, to i tak wielkichby rzeczy dokazała. Chociaż z drugiéj strony, nie zaprzeczamy jéj użyteczności, ale zawsze pod warunkiem powyższym, aby nie rzucać jéj dopóki się całéj nie przejdzie, wtedy sąd sprawiedliwy o niéj wydać można. Ollendorf w swojéj metodzie łączy w prawdzie teorję z praktyką, lecz tę pierwszą tak rozdrabia, iż nawet po kilku lekcjach następujące szematowe rekapitulacje, zapobiedz temu niedostatkowi nie mogą. To rozdrobienie i rozproszenie znika dopiera po przebieżeniu całego dzieła, ale wymaga za to od ucznia ciągłego baczenia, ciągłego przypominania sobie tego co przeszedł.

Jakkolwiekbądź dla tych, co sami, bez pomocy nauczyciela pragną wyuczyć się jakiego języka, nie ma dotąd lepszéj metody nad Ollendorfa. Ostrzegamy wszakże, iż pragnący według niéj się uczyć, powinni już znać chociaż ogólnie wszystkie części mowy i być poznajomieni z terminami wspólnemi wszystkim gramatykom.

Tłomacz polski metody Ollendorfa niemałe miał trudności, z których nie wszędzie potrafił się szczęśliwie wydobyć, bo chcąc ułatwić język i wyrażenie czysto niemieckie, musiał mu poświęcić czystość wyrażenia się polskiego. Znający dobrze swój język nic na tem nie straci, owszem zyska, ale mniéj biegły uczeń może przywyknąć do wcale niepolskich wyrażeń. W niektórych miejscach zapobiega temu tłomacz, kładąc poprawne wyrażenie polskie obok dosłownego niemieckiego. Tym sposobem książka, już i tak sama z siebie wielka, zwiększa się jeszcze więcéj, ale nam nigdy dość ostrożnemi i bacznemi być nie wypada, kiedy idzie o zachowanie czystości i poprawności ojczystego języka.

W drugiem wydaniu, którego życzymy tłomaczowi, aby jak najrychléj był w stanie dokonać, znikną zapewne niektóre błędy pospiesznéj korrekty, jak również znajdą się dopełnienia, które pożyteczną tę książkę, jeszcze pożyteczniejszą uczynią.

J. P.

Norny i Balder.

(Dokończenie).

Autor, wierny tradycji, wprowadza najprzód na scenę Baldera, opowiadającego matce trapiące go sny złowieszcze. Frygga, z pomocą innych Bogów, zaklina całe stworzenie, pomijając, jak wyżéj, jedną tylko *jemiołę*... Zdradny *Loke* wie, że w szeregu zaklęć, pominęła *jakąś* roślinę, ale niewie *jaką?* Przybiera więc postać dziewicy, szukającéj niby leków dla chorego kochanka, i stając przed Fryggą, zanosi kłamaną skargę: „Jeden wieszczek, powiada, radził mi spalić na ofiarę to, co istniejąc na ziemi, do tyla jest nieszkodliwem, że nigdy nie może nabawić nikogo trwogą? Frygga poruszona troską przebranego *Loke*, zdradza sama siebie, dając mu nieszczęsną roślinę którą tak lekceważyła!...

I natychmiast słońce zachodzi chmurami... Czarni karli wyskakują ze szczelin skał, żeby ukuć co żywo ostrze skały złowrogiéj, nauczają ją w sercu nowonarodzonego dziecięcia, wyrażają dziką radość swoją w ponurym śpiewie...

Lecz pokój panuje jeszcze na niebiosach. Sam tylko Balder walczy z nieukojonem przeczuciem... Inni Bogowie uspokojeni i pewni szczęśliwéj przyszłości obchodzą przez igrzysko bojowe koniec trosk minionych i niepokojów. Dla przekonania zaś, że nic już w kole stworzenia nie może przynieść szkody Balderowi, uderzają na siebie kolejno ostrzem swéj broni. Chór ludzi przyglądających się z ziemi téj zabawie Bogów, tak ją wystawia:

Patrzcie, patrzcie! tam Bogowie
W błyszczące pancerze strojni,
I hełmy mając na głowie,
A w miecze i dzidy zbrojni,
Uderzają na Baldera,.
A każdy groźnie się sroży—
Ale ta groźba nie szczera,
Ale ta srogość nie trwoży!

Z gałązką dębową w dłoni,
Balder jaśnieje przed niemi—
Blond jego włosy, ze skroni,
Spływają sploty złotemi.
Niby dziewica, spłoniony,
Z uśmiechem pełnym uroku,
Czeka, by bój ten szalony,
Odkrył mu tajnię wyroku!

Patrzcie! jak się Odyn ciska,
Na rumaku ośmionogim,
Miecz znany w ręku mu błyska,
I z góry, mieczem tym srogim,
O pierś Baldera uderza,
Lecz pierś ta, ran się nie lęka,
I po powierzchni pancerza,
Jak w struny arfy, miecz brzęka...

Daléj Thor *) z trzaskiem i grzmotem,
Na swoim wylata wozie,
Olbrzymim wywija młotem,
Twarz marszcząc w dumie i grozie,
I ciska młot swój z pośpiechem,
Na ulubieńca Przyrody—
Lecz Balder spojrzał z uśmiechem,
Młot się ześliznął bez szkody!

Daléj na wozie złocistym,
Patrz, Freya **), splot jéj warkoczy,
Urokiem nęcąc ognistym,
Po jéj ramionach się toczy...
Wieńcem róż, z śnieżnéj swéj dłoni,
O twarz uderza młodzieńczą,
I z własnéj śmieje się broni,
Któréj pociski nie dręczą...

Wtem chór zwrócił uwagę na dwie postacie posępne, które zdawały się nie brać wcale udziału w radości powszechnéj. Był to Loke i ślepy brat Baldera, Hodur. Loke rzekł do ślepca: „Dla czegóż nie uczestniczysz w uroczystości? Czyliż nie kochasz twojego brata, i niechcesz przekonać go, że jest *nie rannym*, wymierzając przeciw niemu pocisk zbrojny?“

Biedny Hadur czując w tych słowach zwykłe szyderstwo, odpowiedział: „Pytasz mnie nieszczęsnego ślepca, dla czego nie łączę się do téj uroczystości, jak gdybyś nie wiedział, że grube ciemności przedzieliły mnie od dawna od wszystkich rozkoszy i czynów podsłonecznego świata. Zresztą, nie wiem wcale, gdzie jest brat mój, i nie mam w ręku broni jak inni Bogowie! Uważany tu jestem na poły jak dziecko, na poły jak starzec złamany wiekiem i bezsilny jak dziecko.“

Wówczas Loke daje mu do rąk przygotowaną strzałę, i zachęcając zdradliwie niewinnością zabawki podprowadza go wprost Baldera. Hodur ciska nieumyślną ręką swą strzałę, i przeszyty nią Balder upada, Bogowie przerażeni stają jak wryci. Loke uchodzi...

Nieporównanéj piękności monolog Hodura, zakończa dramat.

---

*) Thor — Bóg siły i piorunu.
**) Freya — Bogini Miłości i Pogody.

„Cóż? Czy trafiłem? Po cóż ta cisza! Czy strzała przeszła mimo Baldera? A więc śmiejcie się, śmiejcie się przynajmniéj! ale dla czego i wszyscy i wszystko tak zamilkło! Ha! zawsze poniewierają ślepcem! Ty przynajmniéj, dobry mój bracie Balderze, ty się odezwij! Wszak jeden tylko lubiłeś podzielać smutek mojéj ślepoty, i pocieszałeś mnie? Powiedz, czy moja strzała przeleciała mimo twojego łona, jak brzęczenie natrętnéj muchy, czy odbiła się o łuskę twego pancerza jak ziarnko gradu?... O odpowiedz! Może hołd złożony ci przez ślepca obraził ciebie?... On milczy, to dziwno! Wszyscy zamilkli, wszyscy! Grono Bogów milczące jest jak stare groby wymarłego pokolenia króli! jak pobojowisko po bitwie morderczéj!... Lecz cóż to znowu za czary! Nurzam się w wodach potoku! Mokre fale przepływają po nogach moich... Odynie, Fryggo! Ojcze mój, matko! odpowiedzcie mi odpowiedzcie!...“

Na to odpowiada mu boleśny okrzyk Fryggi.

„O nieszczęsny! Woda opływająca ci nogi, to krew twojego brata!...

Powiedzmy jeszcze słów kilka o samym poecie:

Adam Oelenszläger zmarły w roku 1850 urodził się w r. 1779 w Frydryksbergu pod Kopenchagą, gdzie ojciec jego był organistą, a potem intendentem zamku. Po przejściu szkoły przygotowawczéj chodził na wydział prawny. W r. 1801 podczas napadu floty angielskiéj na Kopenhagę był w stopiu chorążego w korpusie akademickim. Następnie oddał się wyłącznie pracy naukowéj. Kształcąc się czas niejaki w Berlinie gdzie uczęszczał na odczyty Fichtego— zwiedził potem Francję i włochy bawiąc przez długi czas w Paryżu i Rzymie. Po powrocie do ojczyzny, został profesorem Estetyki, i zasłużył w swoim kraju na wziętość i cześć powszechną. Niezadowolniony małą liczbą czytelników w języku ojczystym, (naliczył ich ledwo dwudziestu!) i pragnąc szerszego rozgłosu, pisał wiele po niemiecku. Ogólny zbiór pism jego razem z pamiętnikami wydanemi pośmiertnie, wynosi około trzydziestu tomów. Za najwyższy z utworów poety przyznają Epos, pod tytułem: *Nor der guden* (Północni Bogowie). Pisał też wiele tragedji po większéj części, treści historycznéj, albo mitologicznéj, jak przejrzana przez nas tragedja: *Śmierć Baldera.* Niemniéj też odznaczał się w poezji lirycznéj, w rodzaju pieśni którą tu dajemy w tłomaczeniu...

PRZELOT PTAKÓW.

Widzisz, stadami lecące ptaki,
Północną rzucają stronę,
I przez powietrzne szybują szlaki,
Ku obcym brzegom niesione.
Śpiew ich żałośny, zabrzmiał do koła,
Złączony z wiatru powiewem,
,,Gdzie nas o Boże! goniec twój woła?“
Zdają się pytać tym śpiewem?

Z niespokojnością rzucamy kraje,
Gdzieśmy wyrosły, i były
Ach! tak szczęśliwe! i owe gaje,
Gdzieśmy gniazdeczka uwiły!

Wiatr nas kołysał w stronach rodzinnych,
Na wonnych gałązek splocie,
Teraz z wiatrami, do krain innych,
W ciężkiéj lecimy tęsknocie...

W lasach wdzięk nocy tak był uroczy!
Wieniec róż pierś jéj osłaniał,
I lśnił się złoty zwój jéj warkoczy,
Wdzięk nocy spać nam nie dawał!
A gdy rozkosznie sen nas ułudził,
Ach! w błogim byłyśmy stanie!
Dopóki ranek nas nie obudził,
Na swym błyszczącym rydwanie!

Zielone drzewa na różę drżącą,
I na trawniki zielone,
Zlewały kroplę rosy świecącą!
Dziś, liście z dębów zmienione,
Róża uwiędła i hałas burzy,
Powiew wietrzyka zagłuszył,
A barwę maju i krzaki róży,
Śnieg już dokoła opruszył...

Cóż daléj poczniem w lasach północy?
Niebo tu coraz się chmurzy,
I blednie słońce bez dawnéj mocy!
Ku czemu śpiew nasz posłuży?
Gdy cała ziemia, niby grób niemy!
Bóg nam dał skrzydła, żeby w przestworza,
Inne ulecić, ku wam lecimy,
O fale burzliwe morza!

Taką pieśń nucą ptaki wędrowne,
Aż Bóg wprowadza je w końcu,
W innéj krainy, gaje czarowne,
W wieczystem kąpane słońcu...
Tam znów je wonna gałąź kołysze,
I srebrne szumią strumienie
Pod cieniem myrtu, a leśną ciszę,
Radości przerywa pienie!

Tak, gdy twe ziemskie szczęście się zmieni,
W dolę złowrogą i ciemną,
Lub gdy zaszumi wicher jesieni,
O! nie narzekaj daremno!
Tam za morzami — inna kraina,
Wieczystą wiosną się śmieje—
Tam po za grobem — inna kraina,
Wieczystem szczęściem jaśnieje!

Obok gorącéj miłości ziemi rodzinnéj, Skandynawowie pociągani byli od wieków jakimś niewysławionym czarem, do ciepłych krain południa... Na dowód przytoczyć byśmy mogli niemało faktów historycznych i starych sag islandzkich. Nowożytny poeta pół-wyspu, powtarza to samo uczucie, niby echo tradycji narodowéj!

Jan Prusinowski.

(Dodatek).

ŚLUB.

W białéj sukience, z kwiatami u czoła,
Lekką zasłoną niby mgłą owiana,
Z twarzyczką bladą jak smutku anioła
Klękła na stopniach dziewica spłakana.

Oczy swe jasne, na ołtarz zwróciła,
Bo tam na krzyżu Odkupiciel kona...
A z krzyża płynie wzmocnienie i siła,
Więc o nie błaga dziewica strwożona.

Siły jéj trzeba, bo zbliża się chwila
Strasznéj przysięgi, którą Bóg wysłucha,
Z rzewną więc modłą do stopni się schyla.
Gdy pieśń zabrzmiała do Świętego Ducha.

Strwożone serce zadrgało w jéj łonie,
Wołając głośno, że ma prawa swoje....
Wtem ksiądz przystąpił, połączył ich dłonie
I straszną przysięgę wyrzekli oboje.

Chrystus, słuchając, spojrzał tak głęboko,
Że przed tym wzrokiem dziewica zadrżała
I łzą boleści zamgliło się oko,
A z ran Chrystusa świeża krew się lała.

Przysięgła miłość, któréj w piersi nié ma,
Bo ten skarb serca innemu oddała,
Lecz jéj się zdało, że łatwo dotrzyma,
To co tak głośno, śmiało przysięgała.

Tak jéj mówiły siostry, rówiennice,
Tając łzy gorzkie, walkę i cierpienia,
Albo upadku smutne tajemnice,
Albo smutniejsze wyrzuty sumienia.

Bo walka z sercem, to walka nad siły!
Kłamie, kto mówi, że zwyciężył swoje!
Walkę tę kończą cmentarne mogiły
Gdy serce skryją pod całunu zwoje!

Ślub już skończony — życzenia do koła —
Nowa się życia rozpoczyna droga...
Dla czegóż kwiaty powiędły u czoła?
Bo je zmroziła jakaś myśl złowroga!....

Biedna dziewica w téj chwili poznała,
Że chociaż usta kłamały tak śmiało,
Chociaż przysięgę głośno wymawiała
Sumienie głośniéj kłamstwo wyrzucało.

I poszła smutno drogą życia mową —
Łzą powitaną — kłamstwem rozpoczętą,
Wieniec się zmienił w koronę cierniową,
A dawne szczęście — w boleść niepojętą.

Ewelina S.

POWRÓT NAD RODZINNĄ RZECZKĘ.

Mgły tak zwisły nad wodami,
A nad mgłami — ach chmur tyle...
Iż najlżejszy wiatr falami
Nie zamąci, — jak w mogile.

Jeszcze przed kilkoma laty,
Tak błyszczało wód tych czoło,
Wieńcem barwiły je kwiaty,
Biegły z szumem, het za sioło!

Czemuż dzisiaj rzeczko miła
Szmer twój ucha mi nie pieści?
Czyś się po mnie tak stęskniła,
Czyś świadoma méj powieści?

Niegdyś ja tu z piosnką moją
Rzucałam ci kwiatów zwoje;
Mnie, pobladły wianki moje...
Twoje wody smutnie stoją.

Dziś rzeczułko ma rodzima,
Łzą boleści witam ciebie!
Bo już innéj nad tę niema,
Na mem chmurnem życia niebie.

Augustyna Stanczykiewicz.

DO GWIAZDKI.

Witaj gwiazdko moja złota
Długoż jeszcze będziesz lśnić?
Długoż jeszcze żal — tęsknota
Wrzątek serca będzie pić?...

W mojéj duszy bezpromienna,
Rozpostarła noc swą cień;
Moja luba, moja zmienna,
Pogrążyła w otchłań mię.

Ej, precz z myśli wy wspomnienia,
Gwiazdko moja w przepaść leć!
Dość żywota, dość marzenia,
Dość roskosznie sny już mieć!

Świat mi grobem zewsząd wieje,
Liść kaliny żywot mój;
Mgła rozwiewna — me nadzieje,
Czara życia, krwawy znój...

O LUCYNIE.

Kędy Lucyna przechodzi,
Niebo pogodne w téj stronie;
Ptasząt piosenka brzmi słodziéj.
I kwiatków wdzięczniejsze wonie.

Strumyczek, szemrzy radośniéj,
Zefirek świeższy powiewa:
Pola się śmieją miłośniéj,
I patrzą weseléj drzewa.

Lecz gdy ją spotka młodzieniec,
Przypłaci drogo, ach drogo!...
Na licu straci rumieniec,
A w sercu spokojność błogą.

W. z Zacisza.

O UBIORACH

Korrespondencja z Paryża.

Obecny miesiąc mało przedstawia szczegółów do zapisania w sprawozdaniu naszem. W sklepach i na ulicy widać jeszcze letnie ubrania, nikt jednak nie kupuje już ani sukien ani kapeluszy letnich, jesienne zaś dotąd nie wystąpiły na widownią, i kryją się po magazynach pierwszych modniarek, które trzymają w ręku berło mody i narzucają prawa swoje nie tylko Paryżankom, lecz niemniéj kobietom całego ucywilizowanego świata.

W okrywkach jesiennych zapowiadają zmianę; zamiast krótkich paletotów i rotond, mają nosić bardzo długie. Niedogodna to moda przy dzisiejszéj objętości sukien, gdyż na taką okrywkę nadzwyczaj wiele wyjdzie materjału, a długość jéj na krynolinie, wcale ciepła nie doda.

Materje na suknie czy to jedwabne czy wełniane, najmodniejsze w podłużne pasy rozmaitych rozmiarów. Między innemi uważaliśmy ciężką morę w kolorach dzikich w drobne czarne paseczki i materje w Tureckie paski szerokości palca, na tle czarnem, szafirowem lub popielatem. Do najmodniejszych należy materja czarna lub szafirowa, przerabiana w białe paski, które tworzą jakby wtawki koronkowe, naszywane w odstępach. Paski te naśladują koronkę *Kluny*, nadzwyczaj dziś używaną. Jest to koronka gruba niciana podobna do gipiury z niejaką wszakże odmianą. Przezwano ją koronką *Kluny* z tego powodu, że w muzeum starożytności średniowiecznych w Paryżu, przezwanym *Museé de Cluny* przechowane zostały, z dawnych czasów, bardzo piękne koronki, które służyły niegdyś do ozdoby alb i komży kościelnych. Wzory te poczęto dziś naśladować, a kopje odtworzone z nich przezwano koronką kluniacką.

Takiemi wstawkami obszywają jedwabne a nawet wełniane suknie, kładąc je na czarnéj lub ciemnéj aksamitce. Szczególniéj suknia z popeliny Irlandzkiéj przybrana w ten sposób, bardzo pięknie wygląda. Niekiedy dają wstawkę koronkową na aksamitce po nad obrębem; częściéj jednak dół sukni bywa zupełnie gładki, wstawka zaś szeroka na dwa lub trzy palce idzie wzdłuż spódnicy po obu stronach przodu. Pomiędzy temi dwoma wstawkami naszywają rząd aksamitnych guzików. Stanik ma przeciągniętą wstawkę od ramion do paska, tworzącą jakby szelki; nad rękawami wstawka oznacza epolet, u ręki zaś mankiet odwrócony do łokcia. Ubierając suknią wstawkami *Kluny* trzeba uważać na to, żeby koronka węższa była od aksamitki, podłożonéj pod nią, tym sposobem garnirunek jest bogaty a mniéj kosztowny. Uważaliśmy także suknię przybraną w inny sposób. Na aksamitce szerokiéj na trzy palce, położona była z obu stron, wązka koronka w ząbki obrócone do siebie, lecz nie schodzące się razem, co bardzo ładnie wyglądało.

Koronka *Kluny* używana dziś do wszystkiego, tak do ubrania sukien jedwabnych, jak do koszulek i kołnierzyków. Koszulki muślinowe przeszywają w pasy takiemiż wstawkami tak z przodu jak i z tyłu, niekiedy podwłóczą koronkę wstążką kolorową, częściéj jednak zostawiają wstawki klarowne.

Kołnierzyki najmodniejsze, płócienne z zaokrąglonemi rogami dosyć duże, mają za całą ozdobę kokardę z koronki kluniackiéj, z rozszerzonemi końcami spadającą na dół, i przytwierdzoną broszką w kształcie wielkiego guzika*). W ogólności kołnierzyki noszą daleko większe od zeszłorocznych. Niektóre garnirują w koło koronką.

Kapelusze okrągłe kastorowe w kolorze szarym lub czarnym, dają się często widzieć. Główka u nich okrągła jak melon, rondko małe na trzy palce, nie podwijane z boków, ubranie ich stanowi gruby sznur jedwabny czarny lub kolorowy, przewiązany z tyłu na węzeł, zakończony szmuklerską żołędzią w końcach. Najmodniejsze z nich opasane sznurem w dwóch kolorach, pąsowym i jasno szafirowym. Te dwie połączone barwy stanowią panującą dziś modę, są to bowiem barwy *Gladiatora*, sławnego bieguna, który odniósł wielkie zwycięztwo na wyścigach tegorocznych w lasku Bulońskim. Noszą też paski *à la Gladiateur*, w połowie pąsowe w połowie szafirowe, takież krawatki i szarfy. Uważaliśmy zarówno koszulki pąsowe kaszmirowe, wyszyte pletnią szafirową, i szafirowe z pąsowem naszyciem.

---

*) Formę tego kołnierzyka damy w przyszłym tygodniu w deseniach do haftu. *Red.*

ROZMAITOŚCI.

Przejażdżka do kopalni złota.

(Dokończenie).

III.

PLASERWILL.

Wyjeżdżając z Europy, w podróż na około świata, wywieźliśmy z sobą pojęcia o Kalifornii, zgodne z jéj stanem przed dwoma laty. Ale wyobrażenia te zestarzały się za nim zdołaliśmy je dowieźć na miejsce. To cośmy dotychczas widzieli zatarło przeszłość wczorajszą. Tylko spodziewane odwiedziny w kopalniach budziły nadzieję ujrzenia Kalifornii w jéj namiętnem gonieniu za złotą fortuną. Lecz niestety i tuśmy zostali zawiedzeni! Igrzysko losu... bogactwo spodziewane i wygrane, nagła jutrzejsza nędza nie są tu większe niż na giełdzie w Paryżu lub Londynie. Obroty fortuny ślepéj może nieco jawniejsze, ot i wszystko.

Plaserwillskie kopalnie stanowią miasto o 600 domach i 8,000 mieszkańcach, łudzących się nadzieją szczęścia i majątku nie więcéj jak inna ludność jakiegokolwiek przemysłowego miasto. Dobywanie złota jest już dziś nie grą, ale przemysłem systematycznym. Tysiące ubogich nie zasypia tu z gorączkową nadzieją ujrzenia się jutro Krezusami. Złoty deszcz spływa tylko do kass kapitalistów, jak wszędzie... jak wszędzie. Kompanje prowadzące wodę do płóczek zarabiają więcéj niż górnicy, zmuszeni kupować tę wodę, a bankierzy i lichwiarze dający gotówkę jednym i drugim zarabiają jeszcze więcéj.

W pierwszych latach odkrycia złota górnicy uważali sobie za ujmę pracować dla kogo za wynagrodzeniem dziennem. Wydobywanie złotego piasku było grą. Dziś bez twardéj pracy i kapitału nie ma zdobyczy nie ma zysków... nie ma chleba.

Widok Plaserwilla bardzo oryginalny, podobny bowiem do mieszkań tego owadu, który pewien mędrzec wskazał ludziom za wzór pracowitości. Grunt otaczający miasto zacząwszy od oddalonych gór, do przejść międzyulicami i domami skopany, jakby mrowisko. Skarby złożone w téj ziemi przeszkadzają prawidłowemu rozlokowaniu się miasta tak ulubionemu w Ameryce. Ulice i domy zakładają się i wznoszą tam, gdzie nie ma szansy założenia kopalni. Czasami następuje zmiana frontu, w miejscu budowy na współ wzniesionéj kopie się szyb... a z budową wędrują daléj. Jest to zapewne szczęście, wygrany los znaleść miejsce odpowiednie na kopalnię, ale do wydobycia tego losu potrzeba takiéj pracy i takiego kapitału, na jaki nie każdego stanie. Rozkopanych miejsc rozumie się nikt nie zasypuje i powstające w pustyni miasto ma wiele podobieństwa do grodu rozwalin i gigantycznych nasypów ziemnych.

Dla tego też kto niezna miejscowości, Plaserwill na pierwszy rzut oka zdaje się nie wartem zwiedzenia. Kilkanaście razy można przejść koło jakiéj ciekawéj pracy, nie domyślając się jéj wcale. Należy bowiem wiedzieć, iż w Ameryce prostota i taniość wszelkich robót doprowadzona do najwyższego stopnia. Nie raz w budynku gorszym od chlewka mieści się potężna machina parowa, a strugi biegnące w śród ulic i podwórz są wodociągami prowadzącemi wodę do przemywania złotego piasku, którego kupy warte tysiące dolarów, leżą bez żadnego ogrodzenia ochrony lub warty.

Przybywszy do Plaserwill jak wszędzie stanęliśmy w hotelu, dziwiąc się niezmiernie jego obszerności wykwintnemu komfortowi i taniości, jakiéj nie spodziewaliśmy się zastać biedni Europejczycy w stolicy złota. Główna izba hotelowa mieści w sobie ekonomicznie trzy kantory: jeden miejscowy, drugi kompanii omnibusów (gdzie są amerykanie tam i omnibusy), a trzeci sprzedaży złotego proszku. W środku izby wznosił się piec żelazny, gorejący, czerwony niemal. Około niego, jak około środka, gromadzili się goście hotelowi. Oparłszy nogi o rozgrzane żelazo w téj postaci na wpół stojącéj na wpół leżącéj zdawali się używać żywych rozkoszy wywczasu. W drugiéj izbie ze czterdziestu dżentelmenów pożerało obiad wśród sutych libacji ową nienawistną wódką o któréj słyszeliśmy piorunującą prelekcję w Folsomm. Na górze wszystko cicho, spokojnie, milutko... na dole odwrotna strona medalu.

Plaserwill ma jedną tylko dobrze zabudowaną na wiorstę długą ulicę... Około 200 murowanych domów wznoszą się po obu stronach, zajęte na hotele, składały gotowego ubioru, pracownie fotograficzne i biuro ogniowe. Ta ostatnia, czysto amarykańska instytucja niedawno co zaprowadzona i oddziały straży formują się dopiero. Towarzystwo to mimo wielkiego zamiłowania Amerykanów do strażowania i pożarów nie może się prędko zwiększać, gdyż nie odpowiada zajęciu górników. Rozrzuceni są na znacznych przestrzeniach, a niektórzy mieszkają przy swoich kopalniach w tak nazwanych *cabines*. Są to proste budki z desek, z płaskim dachem, z maleńkiem okienkiem. Co nas najwięcéj zdziwiło, to magazyny zabawek. Pięć lat temu, nie było w Plaserwill ani jednego żonatego mężczyzny, dziś muszą być i dzieci skoro są składy zabawek. Doprawdy życie tu idzie pośpiesznie i nie zdziwię się wcale, gdy mi zarzucą, iż opis mój ma tylko historyczną wartość. Wczoraj w Kalifornii nie podobne wcale do dzisiaj. Jednym z utrzymujących taki skład zabawek wraz ze sklepem cygar był tu niejaki p. Bell, żyd z Galicyi który nas jak ziomków przyjął. W trzydziestym czwartym roku życia wyszedłszy z Brodów, zmieniał po trzy razy ojczyznę, wyuczył się czterech języków i zdaje się znalazł nareszcie w Kalifornii obiecaną ziemię. Należy on do liczby Plaserwillskich akcjonaryuszów, kapitał swój wydobył z błota w pierwszych chwilach odkrycia złotodajnych rozsypów, puścił go następnie w zyskowny handel i dobił się niepomiernego majątku. Wspólnikiem jego był Polak z gubernii Wileńskiéj, nazwiskiem N. jeśli sobie dobrze przypominam. Przyjął nas z otwartemi rękoma jak ziomków, wystawił dobry obiad, o co tu trudno, dobre wina, ale źle już mówił ojczystym językiem, chociaż wiele jeszcze zwyczai z ojczyzny swojéj zachował.

Znajomość ta przydała nam się cokolwiek, gdyż jéj tylko możemy zawdzięczać, że widzieliśmy kopalnie złota, otrzymane bowiem listy z Saint-Francisco żadnéj nam korzyści nie przyniosły. Obecnie mało się złota dobywało w kopalniach. Wydobywanie złota suche, wymagające wielkiéj sztuki i połączone ze stratami metalu zupełnie jest zarzucone. Większą część

złota wydobywa woda, a nie ludzie. Przy pracy w gruncie pulchnym, miękkim woda jest czynną od początku do końca. Ziemia twarda rozbija się wprzód na kawałki, które mielą się w młynach i dopiero przemywają. Takie młyny często bardzo spotkać można koło szybów i podziemi rytych w twardéj skale. Opłacają one znakomite wydatki jakie ponosić trzeba w kopalni.

Dolina Plaserwilla i otaczające ją góry są wielką fabryką, w któréj woda pracuje: bieży, podnosi się spada, porusza wszystkie machiny. Gdzie się obrucisz, wszędzie woda. Dla tego też, jeżeli niema wody w kopalni, górnik prowadzi ją zdaleka, lub kupuje od tego kto ją posiada, jak my w miastach kupujemy gaz. Mając wodę, ma wszystko, a praca jego ogranicza się na tem aby złotodajną ziemię kłaść do wody. W drugim końcu machiny otrzymuje złoto błyszczące. Machiny do mycia złota udoskonalone zostały niezmiernie, a tym sposobem dały możność przemywania takiéj ziemi jakiéj ręczną płuczką nie podobna było obrabiać. Dla tego też tutejszy górnik musi być zarazem inżenierem, mechanikiem i górnikiem. Dzięki im dwóch lub trzech ludzi przemywa dziś potężne góry w krótkim czasie, kiedy pracując rękami do wykonania téj pracy nie starczyłoby im życia. Dziś, jak już tyle razy powiedzieliśmy, wydobywanie złota jest górnictwem, prowadzonem regularnie, z umiejętnością, któréj ten przemysł zawdzięcza swe zyski. Opisanie wszystkich robót przy dobywaniu złota, jakkolwiek idzie o przedmiot tak ponętny, znudziłoby naszych czytelników. Zwrócimy tylko uwagę, iż prawdziwą grą w kopalniach nie jest dobywanie złota, nie są nagłe wypadki odkrycia większych skarbów, ale sprzedaż części kopalni. Każdy z górników należy do pewnéj kompanji z którą razem pracuje. Posiada więc swoją część, rodzaj akcji. Tę akcję on zbywa nabywa inne, traci lub zyskuje na tem. Tak więc stara namiętność ludzka do gry znowu przejawia się tu w téj saméj formie. W Holandji grano na tulipany, w Paryżu grają w rentę, a w Kalifornii na kopalnie złota...

Wróciliśmy z Plasserwill do Saint-Francisco nie zbyt zadowoleni z naszéj wycieczki. Fantastyczny urok otaczający kalifornię... bajeczne opowiadania o bogactwach tego Eldorado, o życiu koczowniczem w kopalniach znikły. Zastaliśmy tu Amerykę prowadzącą przemysł złoty, tak dobrze jak się prowadzi połów ryb na New Funlandzie, lub jak się miele mąka około Baltimore.

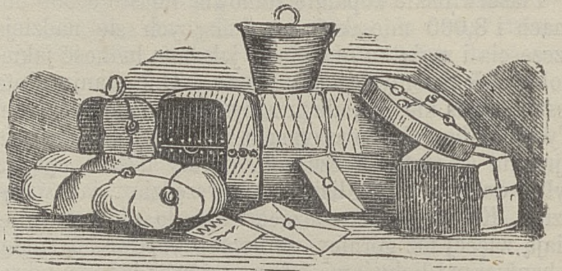
Nie warto było przebywać długiéj podróży niemal na około świata, wszystko to bowiem ujrzeć można było w New Yorku...

Opis ryciny

F. 1. Suknia *z lenosu* białego naszyta nad obrębem trzema rzędami wąziutkiéj jasno-szafirowéj aksamitki. Co półbryta naszycie to zawraca się w górę pod prostym kątem. Na każdym kancie, w końcach aksamitki dana perełka stalowa naśladująca guzik. Stanik do tego biały muszlinowy, fałdowany w szerokie zakłady, przewłóczony szafirową aksamitką, pasek szafirowy. Na wierzch paletocik zastosowany do spódniczki, kapelusz ze słomy Brukselskiéj, przybrany aksamitką czarną; z wierzchu rusza z materji jasno szafirowéj, podpięcie złożone z takichże samych kwiatków. Szarfy czarne jedwabne.

Ubranie pięcioletniéj dziewczynki. Sukienka biała muszlinowa, naszyta nad obrębkiem aksamitką pąsową, ułożoną w ząbki; dwa rzędy odwrócone w górę tworzą jakby tunikę. Staniczek marszczony w środku, przybrany aksamitką. Rękawki krótkie bufowane. Brzegiem u rękawków i u wykroju stanika, dana wązka falbanka, dziergana bawełną pąsową. Kapelusik słomkowy, przystrojony czarną i pąsową aksamitką. Trzewiczki pąsowe safjanowe.

Ubranie trzecie. Suknia *poil de chèvre* lilla, naszyta w zęby wstawką gipiurową. Pomiędzy zębami idą guziki otoczone wązką marszczoną gipiurą. Ten sam garnirunek ale cokolwiek węższy, na ramionach i na zakończeniu rękawów u ręki. Kapelusz włosiany w drobną kratkę, przybrany aksamitką fijołkową, podpięty węzłem aksamitnym, na warkocz spada barbka blondynowa. Szarfy ze wstążki fijołkowéj.



Pani Cezarynie Kra. w Litynie. Kompletu żądanego przez Nią z r. 1860 przesłać nie możemy, gdyż z tego roku Tygodnik wyczerpany został. Mappa Europy serja 1 wyszła, i takowa przesłaną Jéj została, następne jeszcze nie wyszły.

Pani Michalinie Bara: w Żytomierzu. Koperta do pism tygodniowych półrocznie wynosi rs. 1 do pisma codziennego rs. 2, i dlatego należy się nam jeszcze złp. 1 gr. 20.

Pani Wiktorji Rodzie. w Pyłdzie, Tygodnik Mód prenumerować można tylko półrocznie, do prenumeraty więc na bieżące półrocze należy się złp. 4 gr. 5, onadesłanie których upraszamy.

Pani Z. List odebraliśmy dość późno fotografje natychmiast po odebraniu wiadomości przesłaliśmy.

Pani Gal. w Horodku. Ampułki stosownie do wielkości takowych i roboty kosztują od złp. 13 gr. 10 do 33 gr. 10. Kopją kwitu wyjąć można we właściwéj ekspedycji pocztowéj złotych 20 nie odebraliśmy od wiadoméj osoby.

Pani P. Ostrow. w Bogu. Do kupna siatki i kapelusza dołożyliśmy złp. 4 gr. 26.

Pani Ludwi. Koper. Paletocik kosztować będzie złp. 66 gr. 20.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

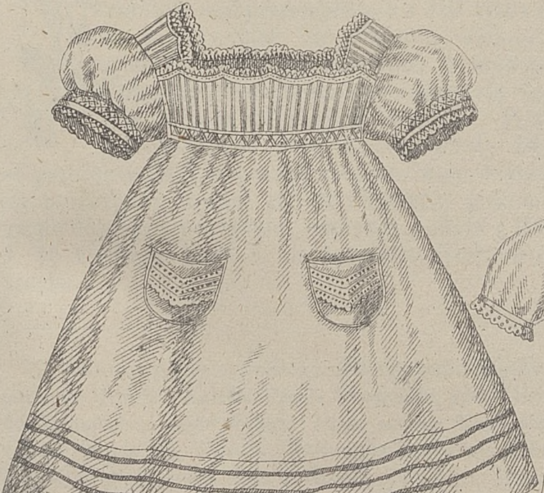
w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

1.



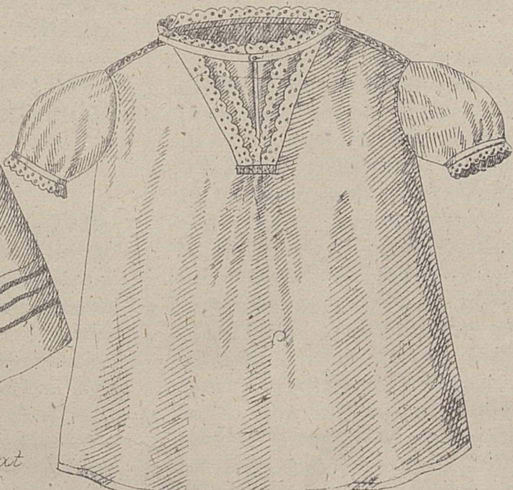
Koszula nocna

2.



Fartuszek dla dziecka od 1½ do 3ech lat

3.



Koszula dziecinna



3452

TYGODNIK MÓD

w Warszawie